

# Jan Marcinkowski

---

## Ze wspomnień 1926–1939

---

Studia Muzealno-Historyczne 1, 283-297

---

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Jan Marcinkowski*

## Ze wspomnień 1926-1939

### O moim dzieciństwie

Urodziłem się 18 maja 1926 r. w Kielcach w domu stojącym wówczas na końcu ulicy Seminaryjskiej, gdzie dzisiaj mamy ogromne bloki mieszkalne<sup>1</sup>. Do tego domu, wkrótce po moim urodzeniu, ojciec sprowadził znajomego felczera nazwiskiem Rotman. Mama później opowiadała, że była przerażona, kiedy na ręczniku rozłożonym na stole byłem „turlany”, w czasie tego badania, od jednego do drugiego końca stołu. Ostatecznie felczer stwierdził: „Nu, panie radco, chłopaczek jest fain, dobre są rączki i nóżki”. Mama z przekonaniem dodała: „No i główka!”. Tu poprawił się pan Rotman: „Pewnie będzie uczonym albo bankierem!”.

W tym samym roku, w drugim dniu świąt Bożego Narodzenia, zostałem ochrzczony w kieleckiej katedrze. Zdarzenie to, jak wiele lat później opowiadała moja matka chrzestna, nie odbyło się bez małego incydentu. Otóż, z niewiadomych przyczyn, w czasie oczekiwania na moment chrztu, płakałem dość głośno zachęcając inne dzieci uczestniczące w tej uroczystości do podobnych wyczynów. Moja matka nie wiedziała co zrobić, gdyż podobno wyrzuciłem smoczek na posadzkę katedry i dopiero ojciec chrzestny, jak to powiedział ksiądz Jędrzej Marchewka, uratował sytuację szepcząc do mojego ucha jakieś wyrazy, których skutek był natychmiastowy. Zamiast płaczu roześmiałem się i nawet nie płakałem, kiedy ksiądz Jędrzej polewał moją głowę wodą. Stryj nie ujawnił jakie to były wyrazy, oświadczając, że to tajemnica, która obowiązuje obu Janów! Mnie i jego. Musiał być zaprawiony w słownym przekonywaniu także marynarzy będąc wieloletnim oficerem austriackiej Kriegsmarine. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości stryj Jan opuścił marynarkę i rozpoczął służbę w polskiej dyplomacji będąc konsulem generalnym w Zagrzebiu. Kiedy występował jako ojciec chrzestny w Kielcach, był już pracownikiem MSZ w Warszawie.

Nie pamiętam tego naszego pierwszego domu na Seminaryjskiej, ale już dokładnie pamiętam drugi dom przy Zagórskiej, stojący blisko skrzyżowania z ulicą Źródło-

1 Jan Marcinkowski, s. Stanisława (ur. 1926 w Kielcach), ukończył Gimnazjum im. Jana Śniadeckiego w Kielcach (tajne komplety i matura 1945), absolwent AGH w Krakowie, Wydział Odlewnictwa (1945-1949), staż w KZWM (Huta „Ludwików”) w Kielcach (1950/1951), doktorat (1975); redaktor naczelny „Przeglądu Odlewnictwa” w Krakowie (1982-2003), autor wielu artykułów, opracowań i recenzji z zakresu metalurgii, odlewnictwa i historii techniki.

Do ślubu kościelnego

PROBOSZCZ  
PARAFII KATEDRALNEJ  
W KIELCACH

Kielce, dnia 7 listopada 1951 r.

Nr 2053/sj

Proboszcz Parafii Katedralnej w Kielcach zaświadcza,  
że w księgach metrykalnych za rok 1926 pod  
Nr 504 znajduje się następujący

**AKT urodzenia i chrztu św**

504  
Kielce

Przyjął się w Kielcach dnia dwudziestego szóstego  
grudnia tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku  
o godzinie wpół do ósmej rano. Ojcem się Stanisław  
Marcinkowski lat trzydziestu sześć, urodził się w  
Jawodzie z Kielce, przywalecny do uciasta Niska woję-  
wódczemu Swarczkiego, w obecności Janina Marcinko-  
skiego lat czterdziestu pięć, urodził się w Między-  
Spraw Sagraci Wierzy z Wierzy, Majord Obro-  
lat trzydziestu sześć, urodził się w Kielce i okazał uaci  
dziesięć pięć męskiej uradzone w Kielcach dnia szesti-  
naszego siątej roku bieżącego o godzinie siódmej rano  
z matronki jego Władysława z Bobrowskich  
lat dwadziestu siedmiu lata bieżących. Dzieciątka leżące na  
chrzcie świętym w dnia dwudziestego szóstego grud-  
nia roku bieżącego o godzinie siódmej rano;  
obu rodziców jego byli: Jan Marcinkowski i Perena  
Marcinkowska. At tu po prezentacji przez nas i obec-  
nych podpisali. - /- / X. Br. Obrochowicz u. s. c. /- / Stanisław  
Marcinkowski /- / Jan Marcinkowski

Przebieganie aktu urodzenia i chrztu  
wypis adnotacji

Zgłoszę niniejszego odpisu z oryginałem zaświadczam.

Proboszcz: M. J. Bobrowski

1. Akt urodzenia i chrztu św. spisany w parafii katedralnej w Kielcach; wszystkie fotografie z archiwum autora

wą. Kilkadziesiąt metrów od tego miejsca stoi dzisiaj wysoki krzyż upamiętniający powstańców z 1830/1831 r. W tym drugim domu, odrestaurowanym przez mojego ojca, mieszkały dwie rodziny, nasza i brata mojej mamy. Oprócz rodziców było nas



2. Nasz pierwszy drewniany dom przy ul. Zagórskiej, w lecie 1929 r. Od lewej stoją: mój tato i mama, na ich tle ja w marynarskim ubranku i moja siostra Hania; trzecia od lewej to stryjka Teresa, obok stoi mój stryj Jan, pierwszy z prawej to wujek Alfred

czworo dzieci, ale z młodszych mieszkańców trzeba wymienić również dużą wilczycę Arę, którą brat mojej mamy przywiózł aż z Brańska.

Pamiętam, że w tym naszym starym domu była duża kuchnia, w której mój ojciec uczył mnie tańczyć krakowiaka i kujawiaka oraz śpiewać różne piosenki.

Repertuar mojego ojca był bardzo szeroki, od „Ułanów pod okienkiem” aż do pieśni pątników idących na kalwarię. Z biegiem czasu, mój tato cieszył się, kiedy powtarzałem nieco sprośne piosenki. Mama nie była z tego zadowolona przewidując, że będę chciał się pochwalić takimi „zdolnościami” kiedy odwiedzą nas znajomi. I tak było rzeczywiście, a treść tych piosenek przetrwała w mojej pamięci aż do dzisiaj. Niestety z tych muzycznych zdolności mojego ojca, szczególnie z grania na ustnej harmonijce, niewiele przeszło na mnie...

W przerwach nauki tańców nasz tato opowiadał o swoich wojennych przygodach, najpierw w armii austriackiej, później w niewoli włoskiej, a następnie jak z armią gen. Hallera przyjechał do Polski, aby walczyć z bolszewikami. W środkowym, stołowym pokoju, wisiało duże powiększenie zdjęcia ojca zrobione przez fotografa w Tarnopolu.

Kiedyś pytałem się czy może tato pamięta, jak opasywał mnie kilkakrotnie swoim wojskowym pasem? Tak, ojciec potwierdził, dodając jak trudno było w tym pasie zrobić nowe dziurki. Przypomniał mi wtedy jeszcze jeden „mundurowy” epizod, kiedy pani Maria, szyjąca czasem sukienki dla mojej mamy, uszyła, także na mamy życze-



3. W ogrodzie pierwszego drewnianego domu w 1930 r. Na przedzie na drewnianym koniu autor wspomnień, obok na taborecie siedzi Jurek, brat cioteczny; po lewej stronie mama Jurka ze swoją córką Lilą, obok, za stołem, siedzi brat mamy Alfred

nie, dla mnie bluzę z patkami i kieszonkami podobną do wojskowej. To był prezent imiennowy dla mnie.

W 1931 r. przenieśliśmy się do nowego domu, także przy ulicy Zagórskiej, ale nieco dalej, na górce, w kierunku wsi Zagórze. Ara została razem z rodziną brata mojej mamy i widzieliśmy się z nią jedynie od czasu do czasu. Bardzo za nią tęskniliśmy. W lecie 1933 r. spotkaliśmy się już w ogródku tego nowego domu.

### Idę do mojej pierwszej szkoły

Na początku września 1933 roku mama zaprowadziła mnie do szkoły ćwiczeń w kieleckim pedagogium nauczycielskim przy ul. Leśnej. Za nowym i dużym piętrowym budynkiem połączonym z gimnazjum im. Bł. Kingi stał stary budynek, gdzie mieściła się izba harcerska i pomieszczenie gospodarcze. Jak powiedziała mi mama, poprzednio było tutaj seminarium nauczycielskie, do którego uczęszczała kilkanaście lat temu.

Droga z domu do szkoły nie była długa, zaledwie dwa kilometry, zabierała mi około pół godziny. Kiedy była pogoda szedłem sam, w czasie deszczu, a potem śniegu odprowadzała mnie mama. Od wiosny następnego roku już cały czas sam chodziłem do szkoły. Bardzo mi się w niej podobało. Nasz wychowawca, pan Kamiński, opowiadał nam dużo o rosyjskiej szkole na Syberii, gdzie uczył polskie dzieci. Pan Kamiński często w czasie lekcji grał na skrzypcach umilając nam pobyt w szkole.



4. W ogrodzie nowego domu w lecie 1933 r. Na pierwszym planie moja stryjenka Teresa z synkiem Andrzejem, obok, po prawej stronie, mama, a dalej moja siostra Ania; po stronie lewej od stryjenki siedzi siostra mojego ojca Marynia, a dalej ja; po lewej stronie stoi mój ojciec, a po prawej stronie stryj Jan

Kiedy byliśmy starsi uczył nas pieśni Lenartowicza: „Żegna ptaszę las i gaj i w daleki leci kraj, gdzie jaśniejsze słońce lśni, płyną życia dni, pola ściemniały i poczerniały, jesień nadchodzi już”.

Chętnie chodziłem do mojej szkoły, gdzie ciągle się coś działo. Właśnie ta szkoła wychowywała mnie na myślącego i wiernego swojej ojczyźnie obywatela. Każdego poniedziałku odbywało się rozpoczęcie nowego tygodnia uroczystym apelem. Staliśmy szeregami na długim korytarzu pierwszego piętra, poczet sztandarowy złożony z wysokich uczniów pedagogium wnosił sztandar naszej szkoły. Śpiewaliśmy wtedy pieśń: „Wszystko co nasze Polsce oddamy. W niej tylko życie, więc idziem żyć. Świty się białą, otwórzmy bramy. Hasło wydane, wstań w słońce idź! Ramię pręż, słabość krusz. Ducha też, ojczyźnie swojej służ. Na Jej zew, w bój, czy w trud. Pójdzie nasz harcerzy polskich ród”.

Na zakończenie tego apelu dyrektor szkoły miał zawsze krótkie przemówienie kończone życzeniami pilnego zdobywania przez nas wiedzy.

Tak było przez cały rok szkolny. Natomiast większe zgromadzenia uczniów z okazji świąt państwowych, rocznic, pamiętnych zdarzeń historycznych i innych szczególnych okazji, odbywały się w sali gimnastycznej. Tam też, prawdopodobnie jesienią 1935 r., była specjalna impreza urządzana przez Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Występowali w niej uczennice i uczniowie ćwiczeniówki. Andrzej Bok-



5. Uczennice Seminarium Nauczycielskiego w Kielcach; w środku stojących w górnym szeregu moja mama Władysława Borczowska (20 X 1919 r.)

siński przygotował się bardzo starannie prezentując bardzo poważny wiersz. Otóż, niedźwiadek mieszkający w sklepie z zabawkami został ukarany za złe [zachowanie], nie mógł opuścić swojego mieszkania znajdującego się na górnej półce. W sobotę, kiedy pracownicy sklepu poszli do domu, lalki postanowiły urządzać bal. Niedźwiadek nie mógł w nim wziąć udziału, ale tak się wiercił na półce, że spadł na podłogę i rozbił sobie nos. Wiersz ten w oryginale kończył się morałem, że tak się kończy nieposłuszeństwo wobec starszych. Ale stryj Andrzeja, pułkownik Wojska Polskiego, widząc jego starania, aby dobrze wypaść, zachęcił go do zmiany zakończenia wierszyka na bardziej dosadne i motywujące. Cena za tę zmianę zakończenia była smakowita, gdyż stryj obiecał fundować Andrzejowi lody przez miesiąc w cukierni Smoleńskiego. Tak się też i stało, dzielny Andrzejek mówił bardzo szybko ten wierszyk o niedźwiadku, żeby się nie zaciąć, ale przede wszystkim, żeby nie załamał mu się głos przy zakończeniu. a zakończenie brzmiało: „...a potem niedźwiadka postawili przy słupie i wszyscy go bili po d...” Po występie Andrzejek, zgodnie z polece-

niem, podszedł do pierwszego szeregu widzów, aby ucałować dłoń księdza biskupa... Schodząc ze sceny, usłyszał, że jedna z nauczycielek krzyknęła: „podać wody komuś kto zemdłał z wrażenia”. Następnego dnia po tym wydarzeniu Andrzej w tajemnicy mi wyjawiał, że księdzu biskupowi trząsał się brzuch ze śmiechu. Naturalnie Andrzej żądał ode mnie dyskrecji.

Takie to były nasze szczęśliwe, szczeniące lata. Szkoda, że przeminęły w siną dal.

### **Moje wakacje w 1936 roku**

Mama była zaniepokojona moim brakiem apetytu, a ojciec uważał, że jestem za szczupły, gdyż ważyłem tylko 32 kilogramy, co sprawdzono w aptece. Dlatego mama porozumiała się ze swoją najstarszą siostrą, prowadzącą pensjonat w Jaremczu, prosząc abym mógł pojechać do niej w czasie wakacji. W końcu czerwca przyjechała po mnie do Kielc Leśka, córka ciotki Poldy, aby mnie zabrać ze sobą do Jaremcza. Były to moje pierwsze tak dalekie wakacje. a w czasie podróży wstępowaliśmy do naszych krewnych w Krakowie, we Lwowie i Stanisławowie. Z tych trzech pięknych miejscowości znałem, chociaż w małym stopniu, jedynie Kraków. Ogromnie podobał mi się Lwów, a przede wszystkim „Panorama Raławicka”, nie mówiąc o wielu pięknych zabytkach. Nieco dłużej zatrzymaliśmy się u dziadków w Stanisławowie, rodzinnym mieście mojej mamy. Już w pierwszym dniu mojego pobytu zastanowił mnie pewien fakt z rozmowy dziadków. Otóż dziadek Wacław mówił do babci, mającej dziwne imię Amalia: „Posłuchaj Malciu, wyszedłem z domu i spotkałem na ulicy kondukt pogrzebowy. Zwróciłem się po polsku do jednego z tych uczestników z zapytaniem, czyj to pogrzeb? Na to odpowiedział mi ze złością po ukraińsku, że to pogrzeb «muczynika». Wtedy zapytałem po rusku, że nie zrozumiałem czy to tego co był «muczony», czy tego, który «muczył».” Rozmówca był tak obrażony tą wypowiedzią, że dziadek obawiał się, aby go nie pobił i szybko schował się w tłumie. Potem usłyszałem od dziadka szereg opowieści o zdarzeniach mówiących o stosunkach narodowościowych, które nie wróżyły nic dobrego. W tym czasie miałem już dosyć dużo wiadomości z tej dziedziny, gdyż już od dwóch lat systematycznie przeglądałem „Gazetę Polską”, prenumerowaną przez mojego ojca. Ojciec chętnie dyskutował ze mną na różne tematy, poruszane w tej gazecie.

Po kilku dniach pobytu w Stanisławowie, babcia Malcia niezbyt zadowolona z odjazdu swojego wnuczka, wyposażyła mnie w dużą torbę z różnymi przysmakami i w obowiązkowy termos, przykazując Leśce, aby nie pozwoliła mi pić lemoniady i jeść, Boże broń, lodów. Po południu byliśmy już w Jaremczu. Zachwycony byłem dzikimi górami, Prutem i sympatycznymi spacerowiczami. Willa mojej ciotki była drewnianym i stylowym domem, wybudowanym przez mojego dziadka, znanego budowniczego w tych górskich miejscowościach.





6. Święto lasu 29 IV 1935 r. na Stadionie w Kielcach – harcmistrz Tadeusz Król (z lewej strony) na czele zastępu zuchów z 5. KDH: drugi z lewej Jerzy Rosiński, czwarty z lewej Andrzej Boksiński, piąty z lewej Leszek Kuc, siódmy z lewej Eugeniusz Sobczak, drugi z prawej Jan Marcinkowski

### Święto lasu

Odnalazłem fotografię upamiętniającą przyjemne zdarzenie, kiedy byliśmy w drugiej klasie ćwiczeniówki, a na pięknym stadionie na Bukówce w Kielcach zorganizowano święto lasu. Z dziewięciu zuchów zdołałem rozpoznać jedynie pięciu, i to z „korespondencyjną” pomocą naszej koleżanki Danusi Machurównej-Pietrus i mojego kolegi Andrzeja Boksińskiego. Nazwiska tych kolegów zapisałem pod fotografią z tej imprezy. Niestety kilku z nich już nie żyje.

Osiągnięcia ks. Leszka Kazimierza Kuca są upamiętnione na marmurowej tablicy wmurowanej w przedsionku kościoła pod wezwaniem Św. Trójcy w Kielcach w pobliżu kieleckiego seminarium duchownego. Ks. Kuc był profesorem w tym seminarium. Wykładał też homiletykę w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a także w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Następnie był profesorem filozofii w studium ojców kapucynów w Bari (Włochy), gdzie zmarł 4 czerwca 1986 r. i tam został pochowany.

Następnym z zuchów będących na święcie lasu, który niestety odszedł z naszego grona, był zmarły 21 grudnia 2008 r. znakomity kielecki wirtuoz – organista i kompozytor muzyki chóralnej i organowej – Jerzy Rosiński. Jak doniosła kielecka „Niedziela” liturgii pogrzebowej w bazylice katedralnej w Kielcach przewodniczył bp Kazimierz Ryczan w asyście wielu dostojników kościelnych. We mszy wzięło udział liczne grono muzyków i pedagogów, organistów z całej diecezji. W homilii bp Ryczan przypomniał sylwetkę zmarłego, mówił o jego maryjności, umiłowaniu muzyki i pedagogicznej pasji, dzięki której wychował rzesze młodych muzyków. Pochodził ze znanej kieleckiej rodziny, a jego ojciec, Józef Rosiński, pedagog i orga-

nista, był absolwentem konserwatorium muzycznego w Warszawie. Jerzy był absolwentem Akademii Muzycznej w Warszawie w klasie organów prof. Feliksa Rączkowskiego. Jerzy Rosiński był kompozytorem powszechnie wykonywanego hymnu do Matki Bożej Łaskawej Kieleckiej oraz wielu utworów chóralnych. Za działalność artystyczną w kraju i za granicą otrzymał nagrodę Stanisława Staszica (1982) oraz „Pro Ecclesia et Pontifice” (2005).

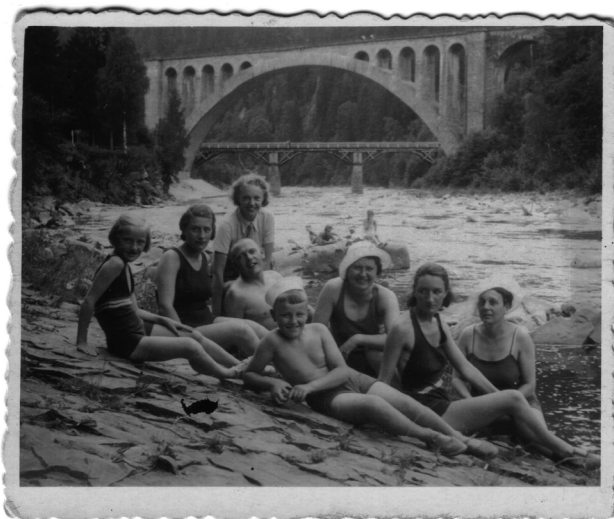
### Wojna, wojna...

Przebudziłem się słysząc jakieś nerwowe rozmowy w pokoju moich rodziców, a potem zaświecono światło, za oknem było jeszcze ciemno. Poszedłem do tego pokoju, mój ojciec był już ubrany. „Wojna, wojna – powiedział – Niemcy bombardują miasta i transporty kolejowe”. Radio nadawało alarmujące wiadomości. Mama była zdenerwowana i poszła do pokoju swoich rodziców, aby ich o tym zawiadomić.

Ubrałem się szybko i wybiegłem z domu do ogrodu licząc, że zobaczę jakieś zmiany lub usłyszę odgłosy strzałów. Na ulicy właśnie w ten piątek, w dzień targowy, przejeżdżały wozy ze wsi do miasta na bazyry. Może tych wozów było więcej jak zwykle, nasi sąsiedzi wyszli na ulicę i dosyć głośno rozmawiali.

Zjedliśmy śniadanie, a wtedy ojciec, jak nigdy dotąd, pożegnał się z nami bardzo serdecznie, całując nas, a potem rodziców mojej mamy. Zapytałem się mamy czy ojciec wyjeżdża z domu? Mama zaprzeczyła, mówiąc, że nigdy nie wiadomo, co się może stać. Tymczasem razem z babcią i mamą wyszliśmy z domu, zapowiadając siostrze i dziadkowi, aby nie wychodzili z domu, z obawy przed nalotami niemieckich samolotów. We troje poszliśmy, jak to mama zwykle mówiła, na zakupy do „Konika”. Przyjęło się tak mówić od kilku lat, i to z naszej dziecinnej inicjatywy. Naszym celem był duży sklep na rogu ulic Głowackiego i Śniadeckich, a właściwie na bazarach. Nad drzwiami wisiał duży szyld: „ARTYKUŁY SPOŻYWCZE I KOLONIALNE S. KOHN”. Od wielu lat, odkąd sylabizując ten napis, szczególnie wyraz „KOLONIALNE”, intrygował mnie i przypominałem sobie jak mama tłumaczyła mi, że to są towary z ciepłych krajów, gdzie rosną pomarańcze, banany i słodkie figi. Zwykle za trzema długimi ladami czekali na klientów właściciel, wypisany na szyldzie, starszy już, z okularami na nosie pan S. Kohn i jego rodzina. Wszyscy byli bardzo uprzejmi, zawsze uśmiechnięci i dający nam do rąk albo kieszonek jakieś słodczyce. Wtedy w piątek, 1 września, jak zauważyła mama, nie było jeszcze pryncypała, a jedynie synowie, którzy mimo pewnej, dającej się odczuć, nerwowej atmosfery, włożyli mi jakieś czekoladki do kieszeni. Potem przybiegł pryncypał i odciągnął mamę do swojego kantoru w głębi sklepu. Potem mama mówiła do babci, że pan Kohn proponował, aby mama zgodziła się kupić więcej artykułów na zapas, które wyśle do domu dorożką: „Pani dobrodziejka nie musi myśleć o pieniądzach, tylko co pani sobie życzy” – zachęcał.

Mama się zastanawiała, co odpowiedzieć na tę propozycję, i po rozmowie z babcią, zamówiła różnych towarów, w tym też kolonialnych za ok. 200 zł. Wieczorem,



7. Nad Prutem w Jaremczu;  
na pierwszym planie autor  
wspomnień

a było już całkiem ciemno, gdyż lampy uliczne były zgaszone, jeden z synów pana Kohna przywiózł nam dorożką konną: mąkę, cukier, ryż, kaszę, makarony i te kolonialne przysmaki. Towary złożono w korytarzu, a pan Kohn wręczył mamie rachunek na 227 zł.

### **Mój ojciec jest na ucieczce**

W niedzielę w pierwszej połowie września 1939 r., mama, starsza siostra i ja wyszliśmy z mszy porannej z kościoła katedralnego, po raz pierwszy bez naszego ojca. Pamiętam przerażający wieczór w pierwszych dniach wojny, kiedy razem z siostrą szykowaliśmy się do ucieczki z domu. Co jakiś czas mama dodawała albo zdejmowała ubrania, obuwie i małe poduszki ze stołów, przeznaczone do zabrania przez nas w drogę. Mama była zdenerwowana, wybiegała na ulicę, aby zobaczyć co się dzieje i obawiając się o moją małą siostrę, która już od południa wręczała wiązanki kwiatów idącym i jadącym na koniach żołnierzom i oficerom. W końcu mama zamknęła drzwi wejściowe do domu na klucz i nie pozwoliła nam wychodzić z domu. Pamiętam jak wszedł do korytarza mamy znajomy prosząc o wodę, aby mógł popić jakieś krople. Mama do niego mówiła: panie Lis, radząc mu, aby nie wybierał się na tułaczkę, będąc chorym na serce. Do tego wszystkiego dźwigał ciężką drewnianą walizkę. Pan Lis jednak nie dał odwieść się od swojej decyzji, mówiąc: „przecież widzi pani, wszyscy uciekają”. Wtedy mam poradziła mu, aby wyrzucił tę ciężką walizę i dała mu naszą lekką walizkę fibrową. Ostatecznie z żalem rozstawał się pan Lis ze swoją walizką i wyszli razem z naszym ojcem z domu. W ostatniej chwili ojciec zdecydował, że my, dzieci i mama, zostaniemy w domu.

Wybiegliśmy z domu, przy furtce pożegnaliśmy się z ojcem, i przerażeni widzieliśmy, jak dołączył do licznej grupy mężczyzn idących drogą przez Zagórze, Domaśzowice, w kierunku Bodzentyna.

Jakiś znajomy rozmawiał z mamą, informując o ostatnich apelach radiowych, o konieczności ucieczki przed Niemcami i o formowaniu oddziałów wojskowych w głębi kraju, zdolnych do obrony przed nieprzyjacielem.

W tym niedzielnym dniu szliśmy smutni do domu, mijając oddziały maszerujących Niemców. Zbliżając się do bazarów, postanowiłem udać się do mojego gimnazjum przy ul. Śniadeckich, aby zobaczyć, czy nie ma zawiadomienia o rozpoczęciu nauki. Mama była raczej przeciwna mojemu zamiarowi, gdyż dwa dni wcześniej, będąc tam, szybko wycofałem się spod drzwi wejściowych, gdzie przechadzał się niemiecki wartownik. Ale ostatecznie pozwoliła mi pójść tam do gimnazjum, nakazując jednak największą ostrożność. Doszedłem tylko do drzwi wejściowych, nie zatrzymując się wobec braku widocznego ogłoszenia. Uszedłem kilka kroków, kiedy idący z naprzeciwka żołnierz niemiecki w furażerze i bez widocznej broni zatrzymał mnie, mówiąc po polsku z dziwnym akcentem polecił mi wejść do bramy domu sąsiadującego z gimnazjum. Znałem tę bramę, gdyż w tym domu pracowała w SUPP-ie<sup>2</sup> jeszcze niedawno moja mama i wiedziałem, że jest tam przejście do równoległej ulicy, a dalej do mojego domu. Ten żołnierz widząc moje zdenerwowanie powiedział: „Niech się nic nie bać, ja jestem ze Śląska. Już wczoraj kiedy jego widziałem” – tak się do mnie zwracał – „chciałem zapytać się jego jaki nosi na sobie uniform i do tego taka czapka z daszkiem?”. Odpowiedziałem mu, że jest to mundur szkolny, który sprawili mi rodzice, kiedy zdałem egzamin do gimnazjum. „Jest wojna” – powiedział żołnierz – „pewnie nie będzie on chodził do gimnazjum. A w tym mundurze lepiej nie chodź, Niemcy są różni”. Otworzył ostrożnie drzwi w bramie i pokazał idącego chodnikiem po przeciwnej stronie Niemca w czarnym mundurze. „Niech patrzy, tamten Niemiec w czarnym mundurze ma trupią czaszkę na czapce i opaskę na ramieniu. Przed takim Niemcem trzeba uciekać”. „Widziałem taką czarną chorągiew na ulicy Focha” – powiedziałem do tego żołnierza – a na tej chorągwi były dwie cyfry 44”. Żołnierz zamyślił się i powiedział: „To nie są cyfry, to są dwie litery, ale po gotycku, to są dwie litery S. Od takich Niemców trzeba uciekać” – dodał troszkę głośniej. Potem mnie zapytał czy mam rodziców? Na to odpowiedziałem, że teraz mam tylko mamę, bo ojciec jest „na ucieczce”. To znaczy, że mój ojciec kilka dni temu uciekł z innymi ludźmi przed Niemcami. „Rozumie” – odpowiedział żołnierz. „A teraz niech mi powie co znaczy ten szyld na rękawie?” – pytał o tarczę z numerem 331, mojego gimnazjum. „Teraz musisz wiedzieć, że szybko do szkoły nie pójdziesz, powiedz mamie, żeby zdjęła ten szyld z rękawa i żeby odpruła te metalowe guziki, albo je obszyła materiałem. Rozumie to? A teraz zdejmuj czapkę i szybko idź do domu. Pamiętaj, co powiedziałem. Wyjdź z tej bramy dopiero za chwilę a lepiej idź przez podwórze i ogród do drugiej ulicy”. Jeszcze raz powtórzył: „Pamiętaj co powiedziałem. Bądź ostrożny!”

2 Stowarzyszenie Urzędników Prywatnych i Państwowych.

Bardzo szybko nie zatrzymując się nigdzie, przybiegłem do domu i powiedziałem mamie o tym co mnie spotkało. Mama zaraz wyszukała czarne guziki i przyszyła je do marynarki w miejsce tych metalowych. Czapkę schowała do szafy, a stamtąd wyjęła dwa berety. Była zmartwiona tym, że nie ma nauki w gimnazjum i zastanawiała się nad podjęciem przeze mnie nauki w gimnazjum handlowym, przy ul. Leonarda.

Tymczasem przeglądała różne książki w ojca bibliotece i znalazła dwie traktujące o algebrze i geometrii. Obiecała wybrać się do księgarni, gdzie pracował mamy znajomy właściciel księgarni pan Król, i kupić podręczniki do pierwszej klasy gimnazjum.

Zainteresowałem się książką do algebry, a nawet byłem zadowolony, kiedy udało mi się rozwiązać kilka zadań z równań algebraicznych, uzyskując poprawny wynik zgodny z odpowiedziami w tej książce.

W pierwszych dniach października mój ojciec wrócił z tej ucieczki przed Niemcami, z kilkoma sąsiadami z naszej ulicy, między innymi z panami Frelichem, Lisem i Feldmanem.

### **Miełę pszenicę w żarnach**

Przypomniałem sobie, jak pewnego jesiennego dnia mama powiedziała mi, że trzeba zemleć kilkanaście kilogramów pszenicy, którą dostała od znajomej gospodyni. Już poprzedniego dnia mama suszyła pszenicę w szabaśniku, a ja cieszyłem się, że będę miał ciekawe zajęcie. Potem mama się zawahała, bo był 10 listopada, przeddzień święta niepodległości, którego po raz pierwszy nie będziemy obchodzić. Ostatecznie mama zdecydowała, że ja pójdę do naszego znajomego gospodarza o nazwisku Wachla, który pozwoli nam skorzystać ze swojego urządzenia. Ten uczynny gospodarz zaprowadził mnie do stodoły i pokazał jak wprowadzać ziarno pomiędzy mielące kamienie. Po jakimś czasie przyszedł syn gospodarza zobaczyć jak mi idzie i z przerażeniem stwierdził, że nie jestem pojętym uczniem, a wsypany do worka przemiał wymagał ponownego mielenia. Córka gospodarza przyniosła duże sito i przesiała na wpeł zmielone ziarno, oddzielając mąkę od reszty wymagającej powtórnego mielenia. Tak więc mój pobyt u Wachłów się przedłużył, gospodarz nie chciał mnie też wypuścić z domu, gdyż idący z miasta poinformowali go, że jest niespokojnie. Podobno aresztują ludzi, a nawet rozstrzelano kilkanaście osób. Kiedy syn gospodarza rozmawiając ze mną, dowiedział się, że mój ojciec jeszcze nie wrócił z kieleckiego więzienia, gdzie od tygodnia przebywa jako zakładnik, powiedział, że mnie nie wypuści do domu obawiając się, żeby mi się nic nie stało. Dopiero po dłuższych naleganiach zgodził się, że jeżeli będę u nich nocował i nie wrócę do domu, to mama nie będzie wiedzieć co się stało, a przecież nie ma żadnych połączeń telefonicznych. Ostatecznie w jego towarzystwie wracałem do domu polnymi drogami, wieczorem byłem na miejscu.

## Ostatnie buty od Laks

Pamiętam dziwny, bardzo smutny, dzień w pierwszym tygodniu stycznia 1940 r., który zakończył się niespodziewanie dobrze. Ojciec wrócił z miasta, gdzie sprzedał swój złoty sygnet, gdyż w domu nie było ani grosza. Był zmartwiony, bo otrzymał mniej pieniędzy niż się spodziewał. Złotnik kupił sygnet po oddaniu ojcu kamienia, złoto kupił jako złom. Takich trudnych dni od powrotu ojca z ucieczki było wiele. Wtedy ojciec skarżył się, że ma gorycz w ustach, co było według niego wynikiem ulewającej się żółci. Doszedł więc do wniosku, że trzeba tę dolegliwość usunąć jedząc landrynki. Taką landrynkową kurację stosował dosyć długo, aż w końcu przestała skutkować...

Około południa, kiedy siedzieliśmy w kuchni, gdzie mama gotowała obiad, a ojciec mówił nam, co widział w mieście, usłyszeliśmy w korytarzu męski głos wesoło śpiewający kolędę. Ojciec szybko otworzył drzwi, powiedział zapraszamy i czekał, aż jego znajomy Franciszek Drozdowski zakończy śpiewać drugą zwrotkę kolędy. Pan Franek, jak go ojciec tytułował, mieszkał samotnie w ostatnim domu przy ul. Zagórskiej, tuż przed granicą miasta i wsi Zagórze. Uchodził za wielkiego dziwaka, ale przy tym był człowiekiem bardzo uczynnym, chętnie pomagającym ludziom, szczególnie, gdy nagle znaleźli się, jak ojciec mówił, w dużych tarapatach. Po wesołych powitaniach, pan Franek wyjął z przepastnej torby, z którą nigdy się nie rozstawał, dwa duże buty, z których każdy był owinięty w gazetę. Zwrócił się do ojca z zapytaniem czy zgadnie, kto mu przysłał taki piękny prezent. Od razu zastrzegł, że o ile ojciec nie zgadnie nazwiska nadawcy tego prezentu, to on weźmie buty dla siebie. Ojciec domyślał się, kto przysłał buty, ale udawał że nie wie, a Franek w końcu oświadczył, że butów i tak nie weźmie dla siebie, gdyż są co najmniej trzy numery większe od noszonych przez niego. Okazało się, że buty podał spotkany przez Franciszka szewc Chaim Laks, znajomy ojca. Razem z butami przesłał pozdrowienia i życzenia, aby długo się nosiły, bo już więcej takich butów nie będzie...

Franek pytał się o cenę tych butów, ale Laks powiedział, że są to buty bezcenne, a do tego ostatnie, gdyż kopyta zostały w jego sklepie, zagrabionym przez komisarza. A zresztą nigdy nie sprzedawał prezentów! Na pytanie ojca, gdzie teraz mieszka Laks, pan Franciszek odparł, że na Piotrkowskiej, ale nie zna numeru, chociaż z pewnymi trudnościami mógłby tam trafić. Ojciec prosił pana Franciszka, aby wstąpił do nas, kiedy będzie szedł do miasta i umówił się, co do spotkania z panem Laksem. Rodzice zastanawiali się, czym się zrewanżować i ostatecznie zdecydowali, że trzeba zanieść gęś i to chyba żywą. Ojciec poczuł się lepiej, ponieważ „z nieba spadły buty i już ma pieniądze także na ładną gęś”.

Kilka dni później przyszedł Franek mówiąc, że jest chętny pójść do Laks. W komórcie z węglem, w drewnianej skrzyni przebywała kupiona przez mamę gęś, czekając na podróż do ofiarodawcy butów. Ustaliliśmy, że wyprawa z gęsią odbędzie się następnego dnia po południu. Ojciec przygotował plecak z ziemniakami i jarzyną. Ja miałem nieść gęś w koszyku, przykrytą workiem. Gęś jednak była uparta

i nie chciała siedzieć w koszyku. W końcu pan Franciszek powiedział, że weźmie gęś w worku pod pachą i niepotrzebny jest koszyk. Ojciec zachęcił Franciszka, aby na swój płaszcz włożył jeszcze ojca kurteż z kapturem, bo mróz był szczypiący. Mama znalazła plecak dla mnie, do którego przesypała część ziemniaków z torby ojca i dołożyła jarzyny z naszego ogrodu.

Idąc bocznymi ulicami doszliśmy przez Bodzentyńską do wskazanego przez pana Franka domu w ciasnej zabudowie ul. Piotrkowskiej. Zastaliśmy pana Laksa w domu, właśnie zabierał się do podkładania węgla w żelaznym piecyku z długą rurą wyprowadzającą spaliny przez otwór w oknie. Laks był zaskoczony naszym przyjściem i dziękował za przyniesione pożywienie. Mówił, że spodziewa się przyjazdu rodziny z Chmielnika, stąd nasze wiktuały będą bardzo przydatne. Ojciec i pan Drozdowski rozmawiali żywo z panem Laksem, szczególnie o trudnej sytuacji w czasie tej srogiej zimy i przy napływającej fali przesiedleńców z Pomorza i Śląska. A co nas jeszcze czekało? Mój ojciec niezbyt dowierzał optymizmowi pana Franciszka powtarzającego uparcie, że wiosną będzie jakieś rozstrzygnięcie w tej wojnie: „Im słończko wyżej tym Sikorski bliżej”. Pan Laks był raczej małowówny, tylko kiwał głową i powtarzał: „Co to będzie, co to będzie?”

Która wiosna ma być szczęśliwa? Franek mówił, że to pewnie ta najbliższa. Laks był mniejszym optymistą i choć nie przeczył, że doczekamy się zwycięstwa, to jednak był ostrożny, co do bliskiej zmiany na lepsze. Tymczasem długi płomień z wrzucanych odpadków drewna rozgrzał rurę do wiśniowego koloru. Na podwórzu zajechała fura z rodziną Laksa i dobytkiem spakowanym w dużych koszach i walizkach. Nie chcieliśmy przeszkadzać w rozpakowaniu się przybyłym, a pan Laks jeszcze raz dziękował za gęś, wspominając, że powitalny obiad będzie obfitował także w podziękowania dla nas. Mimo tych przyjaznych akcentów naszego spotkania, co chwilę wracały czarne myśli, co będzie dalej? Pożegnaliśmy się z Laksami, jako że wyraźnie się ściemniło, a zamierzaliśmy wracać bocznymi drogami.



Moje dalsze losy po 1939 r. opiszę w drugiej części wspomnień. W czasie drugiej wojny światowej początkowo uczyłem się samodzielnie, a potem na tajnych kompletach. Kiedy była mi potrzebna karta pracy zatrudniłem się jako pomocnik kierowcy samochodu ciężarowego napędzanego gazem drzewnym. Przetykałem wówczas długim drągiem palące się klocki bukowe, jeżdżąc na pace tego samochodu. Potem uciekałem przed Baudienstem, kończąc tajną podchorążówkę AK ze stopniem wojskowym st. strzelca. Przed ukończeniem studiów, a po ujawnieniu mojej działalności w AK, zostałem przeniesiony do rezerwy w specjalności: niewykszoleni pisarze, rachmistrze i bibliotekarze.

*Opracował Jan Główka*

**Jan Marcinkowski**  
**From memories 1926-1939**  
Prepared by Jan Główka

Memories of Jan Marcinkowski (born in 1926 in Kielce) from Krakow are evidence of everyday life in Kielce in the interwar period and at the beginning of World War II. They are also a reflection on the history of a middle-class, multi-generation family from Kielce. The material is just an introduction to memoirs of the Kielce citizen who spent his youth in the city and after graduating from the Academy of Mining and a training period at “Ludwików” Steelworks, settled in Krakow and for many years was the chief editor of “Przegląd Odlewnictwa” magazine.